ROZMAITOŚCI.

Dnia 17. Stycznia. № 3. Roku 1855.

WIOSKA.

Sceny wiejskie z pism Oktawa Feuillet.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 1. 2. Rozmaitości.)

Rouviére *(wstaje, zapala cygaro, zbliża się do kominka i mówi podkręcając wąsa).*

Posłuchaj mnie Jerzy, powiem ci szczérą prawdę. — Wiesz, że zawsze byłem szczéry. Otoż przyznam ci się, że wszedłszy do twego domu doznałem przykrego wrażenia. Owionęło mię jakieś stęchłe jakby grobowe powietrze. Zdawało mi się, że wchodzę do jakiegoś odwiecznego pomieszkania, które tylko staranna ręka miłośnika starożytności zachowała od zepsucia. Gdy wszyscy wybiegli, by ci dać znać o mojém przybyciu, przypatrywałem się ciekawie tym sprzętom, tym obrazom, tym obiciom — wszystko jak gdyby należało do jakiego archeologicznego muzeum: przypomniałem sobie żywość twego umysłu, twą ogładę w obyczajach, twe zamiłowanie w sztukach pięknych i w żaden sposób niemogłem pogodzić to moje z dawnych lat wyobrażenie o tobie z tą egzystencyą ponurą i nudną, której dowody miałem przed oczyma. — Na to wszedłeś sam do pokoju. Powitaliśmy się znowu po tylu latach. Niewiem czy taki wpływ na mnie wywarły otaczające mię przedmioty, ale wydałeś mi się zupełnie innym, aniżelim cię sobie wyobrażał. Żeś się postarzał, to naturalna... ale mowa twoja zdziwiła mnie,.. w całéj powierzchowności twojéj znalazłem jakieś opuszczenie... serce mi się ścisnęło, — i mimowolnie rzekłem sam do siebie jak gdybym stał nad twoim grobem: Owoż wszystko, co pozostało po moim przyjacielu! — Ale ja cię nieobrażam, kochany Jerzy?

Dupuis.

O nie, Tomaszu, bynajmniéj! Zresztą ja sam czułem moje upośledzenie. Przynajmniéj domyślałem się tego i ten domysł był mi nieznośny. Wolę już pewność.

Rouviére.

Mówmy o czém inném, mój przyjacielu. — Więc porzuciłeś adwokaturę? i cóż zamyślasz robić teraz?

Dupuis.

A coż mam począć? Trzeba wegetować, aż umrę do reszty!

Rouvière.

Co tam myśléć o takich rzeczach! odżyj raczéj! — Pomówmy seryo, kochany Jerzy. Żeniąc się przyjąłeś na siebie obowiązki; wypełniłeś je aż do końca: to bardzo pięknie! — Ale dzisiaj stanowisko twoje już zapewnione; przyszłość twojéj żony, los twojéj córki jak najlepiéj zabezpieczony... Pytam więc, cóż ci przeszkadza puścić się na dwa lub trzy lata prądem cywilizacyi teraźniejszego wieku i odświéżyć na nowo twoje siły umysłowe? Wiesz jak cudownym sposobem dzisiaj się odbywają podróże: w przeciągu dwóch lat, powiadam ci, możesz zwiedzić całą Europę, a nawet zrobić małą wycieczkę do Azyi... W zetknięciu się z najwznioślejszemi utworami natury i sztuki możesz odzyskać całą świéżość, całą ruchliwość umysłu... możesz przygłuszyć żale, które cię trapią i zatruwają twe życie! dwa lata, nie więcéj! A teraz, co myślisz? Wolisz zakopać się żywcem w tym grobie — zrób, jak ci się podoba!

Dupuis.

Alez, mój przyjacielu, gdzie już mnie staremu myśléć o wojażach, puszczać się samemu w drogę, jak jakiemu młodzikowi?

Rouvière *(przystępując ku niemu).*

A któż mówi, żebyś jechał sam jeden? Od czegoż ja? Wszak możesz dysponować mojém doświadczeniem, moim powozem, moim służącym; wszystko co posiadam, na twoje usługi.

Dupuis.

Jakto? nieżartujesz? Tomaszu, zechciałbyś doprawdy być moim towarzyszem?

(Przechadzają się obadwa równym krokiem po pokoju).

Rouvière.

Ale, za rękę cię poprowadzę, mój synu! Oszczędzę ci przewodników, cyceronów i całą natrętną czeredę, co wszędzie napastuje podróżnych. Niemasz za co dziękować, i mój interes w tém. Twoje wrażenia odświéżą we mnie dawny zapał. A potem, czyliż może być co przyjemniejszego, kochany Jerzy, jak kończyć życie razem, tak jakeśmy je razem zaczęli, w spólnych przygodach, w spólnych przyjemnościach, na wspólne koszta! No, więc jakże? — Zgoda?

Dupuis.

Wyznaję szczérze, że niepamiętam, czyli kiedy jaka propozycya miała dla mnie więcéj powabu; ale widzisz...

Rouvière.

Co tam ale, rzecz skończona! Do końca zimy zabawimy w Paryżu: niebędziesz się nudził, w tém moje staranie, będziesz miał muzea, galerye obrazów, teatra... wprowadzę cię między moich znajomych.... będziesz słyszał Alboni, Cruveli... Jeśli się niemylę, toś dawniéj lubiał muzykę?

Dupuis.

I lubię ją zawsze, grywam nawet jeszcze czasem na flecie.

Rouvière *(z uniesieniem).*

Wyśmienicie! weźmiesz ze sobą flet.... Na czémżem stanął? Aha! przezimujemy w Paryżu, — to rzecz umówiona; ale w piérwszych dniach wiosny, jeśli posłu-

chasz méj rady, pojedziemy za Pyreneje: zabawimy trzy miesiące w Hiszpanii.... w lecie zwiedzimy stolice niemieckie... a potem spuścimy się do Włoch na Tryest i Wenecyę... Co sądzisz o tym planie?

Dupuis *(staje).*

Co sądzę?.. *(stanowczo)* ja sądzę, że mi się raj otwiéra!... pozwól mi cygaro!... powiadam, że masz słuszność, — żem już dość długo żył dla drugich... że dość już mego poświęcenia! Do stu katów! człek także ma obowiązki względem siebie samego! *(Puszcza ogromne kłęby dymu).* Kiedyś trzeba będzie zdać rachunek Opatrzności z darów, jakiemi człeka wyposażyła! Rozum, — imaginacya, — uczucie piękności, są-to dobrodziejstwa, które wkładają na człowieka pewne powinności! To hańba, zbrodnia — tak jest, zbrodnia, kochany Tomaszu, przygaszać w sobie te święte płomienie!

Rouviére.

Otóż-to sobie chwalę! poznaję w tobie znowu mego dawnego przyjaciela!... Ale kujmy żelazo, póki gorące... *(Woła).* Maryanno.

Dupuis *(spuszczając nagle z tonu).*

Cicho! — daj pokój, — czegoż od niéj chcesz?

Rouviére.

Chcę jéj powiedziéć, że wyjeżdżasz, żeby spakowała twoje rzeczy... Maryanno!

Dupuis.

Dajże jéj pokój!... Jakto, kochany Jerzy, czy to już dziś wieczór mamy jechać?

Rouviére.

O dziewiątéj... Wszak wiesz, że zamówiłem konie na dziewiątą.

Dupuis.

Prawda... ale widzisz, jakoś się zanosi na zawierzuchę... mróz jak na Sybirze.... możebyśmy mogli zatrzymać się do jutra rana — jak myślisz?

Rouviére.

Ba! słuchaj, jeżeli się boisz zmarznąć trochę w palce i przepędzić noc w powozie, to zasuń czapkę nocną na uszy, wleź pod pierzynę i niemów mi więcéj o podróży!

Dupuis.

Mój przyjacielu, bądź przekonany, że się nieboję niczego ani nikogo; ale po prawdzie powiedziawszy, ten wielki pośpiech dekoncertuje mię cokolwiek. Liczyłem parę dni na załatwienie niektórych sprawunków, — na przygotowania do podróży...

Rouviére.

Jakie przygotowania? Potrzebujesz walizy i trochę bielizny; na to masz godzinę czasu, to dość. Jeżeli niemasz pieniędzy, mniejsza o to, ja niejestem bez grosza. Nie bądź dzieckiem kochany Jerzy; jeżeli na kilka dni odwleczesz twój wyjazd, to bądź pewny, że zostaniesz w domu. Niepotrzebuję ci mówić jakie wpływy, jakie przeszkody zmiękczą twą odwagę i zniweczą twe postanowienie. W takich wypadkach, mój przyjacielu, niema co obwijać w bawełnę — jechać to jechać!

Dupuis *(po chwili namysłu).*

Masz słuszność... niema co odwlekać.

Rouviére *(woła).*

Ma....

Dupuis (*przerywa mu*).

Niewołaj Maryanny... obejdę się bez niéj. Ja wiem lepiéj od niéj, czego mi potrzeba. Spakuję sam moją walizę, jak tylko żona moja powróci. (*Patrzy na zégar*). Osma... tylko co jéj niewidać... Ha! no, smutna to będzie chwila, niema co mówić, ale chwila tylko... a zresztą, niemam sobie nic do wyrzucenia,... mniejsza o trochę goryczy, kiedy puhar mój napełniony nektarem!.. Ach Tomaszu, co za nagła perspektywa, co za widok odsłania się przed memi oczyma! Grenada, Wenecya, Neapol!... to sen, istny sen!.. Pięć minut po ósméj... Ach dałbym dwadzieścia pięć luidorów, żebym był starszy o jedną godzinę... Mój Boże! o kwadrans tylko... Wiem dobrze, że to słabość z méj strony, ale.....

Rouviére.

Wiesz co! może by było lepiéj, żebym ja uwiadomił twą żonę?

Dupuis.

Szczérze mówiąc, Tomaszu, zrobiłbyś mi wielką przysługę.

Rouviére.

Więc zgoda! Idźże i pakuj.

Dupuis.

Niemyśl, żebym się obawiał jakiejś gwałtownéj sceny, bynajmniéj, ubliżałbyś jéj charakterowi.

Rouviére.

To się pokaże.

Dupuis.

Przedewszystkiém powiedz jéj, że ją proszę usilnie, żeby była spokojna. Rozrzewnienie sprawiłoby mi przykrość, a nieprzydało by się na nic.

Rouviére.

Już ty się nietroszcz, w tém moje staranie. Tylko idź i pakuj.

Dupuis.

Idę. (*Wraca*). Tylko mój drogi, proszę cię, jak najłagodniéj.

Rouviére.

Bądź spokojny. Ale nieodstępujże mnie, kiedy już zacznę popierać twą sprawę.

Dupuis.

A to by było pięknie! uciekać z placu bitwy. Widzę, już mię nieznasz Tomaszu!

Rouviére.

Niewątpię o twéj powadze... ale widzisz, w takim wypadku odegrałbym bardzo śmieszną rolę.

Dupuis.

Panie Rouviére, mam zaszczyt oświadczyć Panu, że postanowiłem niezmiennie jechać z Panem dziś wieczór o godzinie dziewiątéj — niech się dzieje co chce; a jeżeli ci o to idzie, masz moje słowo... Dosyć ci na tém?

Rouviére (*bierze go za rękę*).

Chwat z ciebie — idźże i pakuj!

(*Dupuis odchodzi*).

Rouviére (*sam; zaciera ręce*).

Ha! ha! Teraz sprawa ze mną, Mościa Dobrodziejko!... Rzecz pewna, że głównym moim celem jest w téj sprawie zrobić przysługę Jerzemu, — wyswobodzić go z pod tego jarzma; ale oprócz tego niemałą będzie dla mnie przyjemnością wypłatać figla téj śmie-

sznéj dewotce.... Oto mi żona, która obala wszystkie moje pojęcia moralne... Juści Turkiem niejestem... i jako dobry katolik uważałem dotychczas polygamię za zbrodnię... ale, niech mię porwą kaci, jeżeli to niejest największą tyranią, żeby porządny człowiek był skazany na wieczną przyjaźń baby tak kompletnie nieznośnéj jak szanowna połowica mego przyjaciela! — Jeszczem jéj nie widział, a już pojąłem ją dokładnie, już ją nienawidziłem! Tak jest, odgadłem ją na wskroś, od jéj trzewików kastrowych aż do czépka z szerokiemi szlarkami, odgadłem ją w téj błogiéj symetryi, która każdemu z tych mebłów nadaje wyraz tak głębokiego znudzenia, — w tym jasełkowym metodyzmie, którym oddycha ta świątynia nudów. Przypatrzyć się tylko temu barometrowi, tym wypchanym ptakom, téj toalecie wykładanéj muszlami, tym robótkom z szklannych pereł, wszystkim tym osobliwościom, a już można mieć najdokładniejsze wyobrażenie o fizycznych i moralnych przymiotach gospodyni domu... Ta kobiéta, dałbym moje gardło, — trzyma jabłka między bielizną! — Biédny Jerzy! —

....Żal mi go było... ale niemogłem wytrzymać... nadokuczałem jéj się podczas obiadu. Odgryzałem się jak Kałmuk; aż mi samemu było przykro... ale cóż było robić! człek także nie z lodu... Pan du Luc i jakaś pani le Rendu! — i sadzawka, a kot, a pleban! U kata! to już było za wiele... Nie, doprawdy, trudno sobie wyobrazić wybitniejszy typ personifikowanéj parafiańszczyzny jak ta baba.

Będzie to rozprawa nie lada, wiem ja co to za rogate dusze się ukrywają pod maską świętoszków: widzę już pazurki pod rękawiczką dewotki... Ale trafiła kosa na kamień. Mam pełnomocnictwo Jerzego — mam jego słowo... wiem, że go niecofnie... ani na włos nieodstąpię.

Poczciwy Jerzy! biedaczysko musiał nacierpiéć się niemało, nim ugiął swą rozumną głowę pod to nikczemne jarzmo! Ha! cóż miał począć! — Tak to się zwykle dzieje. — Z początku bronił się pewnie walecznie — ale wkońcu musiał jak tylu innych uledz nieustannéj niszczącéj sile woli kobiécéj. — Trzydzieści lat męczył się tak nieborak! ale do stu katów Mościa Dobrodziejko, chwila zemsty nadeszła! *(Śmieje się).* To mi przypomina starą Indyankę, któréj podczas snu ukradłem ulubionego bożka... Co tam było krzyku a złości! — To rzecz nadzwyczajna, jak wszytkie stare baby do siebie podobne!

(Dalszy ciąg nastąpi).

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. Rozmaitości).

Scena 5. (Dokończenie).

Klotylda (*wchodząc*).

Czemuż tak wcześnie twoje porzuciłaś łoże?
Burza przechodzi — zaśnij —

Noema.

Nie zdołam w téj dobie.

Klotylda.

Będziemy się więc tutaj przysłuchiwać obie
Ostatnim jękom wiatrów konającéj burzy,
Nim się z nocnéj pomroki jasny dzień wynurzy.—
A tymczasem wspomnienia ożywiając młode
Powtórzę ci jak zwykle wesołą przygodę
Czy dobroczynnéj wróżki, czy sprytnego karła.

Noema.

Nie Klotyldo — wesołość w sercu mém zamarła.

Klotylda.

Więc opowiem, jak nagle w morderczéj pogoni
Nieszczęsnemu zbiegowi bez sił i bez broni
Nocy, jak ta burzliwéj podwajając trwogę
Trup siny i skrwawiony zastępuje drogę;
Albo jak rozbitkowi larwa jakaś mściwa
Omdlewającą rękę od skały odrywa,
A sęp nad nim kołując skrzydłami szeleści...

Noema.

I pocóż zmyślonemi straszyć się powieści?

Klotylda.

Iluż ostatnym fałszom ulega płeć nasza,
Którą mara zmyślonéj powieści zastrasza?
Nie sąż równie kłamliwe, zalotne przynęty
I przysięgi miłości? A czy budzą wstręty?

Noema.

Mylisz się — miłość nie jest zawodna i płocha.
Serce zmienne próżnością łudzi się — nie kocha.
O! zawierz mi Klotyldo — żywot męczennika
Nie tyle w poświęconych rysach swych zamyka
I wzniosłego uczucia i gorącéj wiary
I siły poświęcenia i cierpień bez miary,
Ile serce, co wszystkie myśli, czucia, chęci
Rzetelnéj, tajemniczéj miłości poświęci,
I tajone przed światem troski, Bogu zwierza.—
Znam jedno takie serce....

Klotylda (*skwapliwie*).

Damy czy Rycerza?

Noema.

Nie Klotyldo — to serce ubogiéj sieroty
Posażnéj tylko wdziękiem urody i cnoty.
Czemuż biedna przyjmując ponęty zwodnicze
Ośmieliła się w pańskie zapatrzyć oblicze?
A Pan ze szczytu swojéj wielkości i pychy
Raczył podjąć kwiat szczęścia ukryty i cichy.
Szczęście zbyt krótko trwało — świetne jego (blaski
Zgasiła zawiść możnych, z nią dworu niełaski—
Runęła pańska wielkość — wyrok Władzcy (świeży
Suzereńską chorągiew zdarł w zamkowéj wieży,
Na któréj przez dwa wieki urągała śmiało
I najazdom i burzom.—Nic się nie ostało
I pustka w możnym domu, gość niespodziewany,
Rdzą wyżarła i pleśnią pociągnęła ściany.
Rycerz z praw swych wyzuty, pomiędzy swojemi,
Tułać się teraz musi na rodzinnéj ziemi
Bez przyjaciół, bez dachu walcząc dniem i nocą
I z tajemną zasadzką i z jawną przemocą. —
Nikt nie spytał, czy sobie w téj walce wystarczy:
Żaden giermek herbownéj nie uniósł z nim tar- (czy;
Żaden kapelan pańskiéj nie przeżegnał drogi,
I rumak nie rżał Panu. — Wszystkich wyrok (srogi
Rozpędził i oddalił.—Ona tylko jedna,
Jak dawniéj przywiązana, i jak dawniéj biedna,
Odartemu z czci, sławy, dostatków, znaczenia,
Dochowała swą miłość.

Klotylda.

Gdy ją nic nie zmienia,
Więc los jego podziela?

Noema.

Chciała iść z nim razem,
Ale ją własnym swoim zatrzymał rozkazem.

Klotylda.

Jakież tedy miłości daje mu dowody?

Noema.

We łzach i troskach za nim spędziła wiek młody:
Tułając się samotna po górach, po lesie,
Czekała aż jéj słowo pociechy przyniesie;
I czekała daremnie. — W tém straszliwe wieści
Rozdartego już serca zjątrzyły boleści. —
Rycerz gwałtownym życia poburzony wstrętem,
Związał się z ludźmi, których wszystko co jest (świętém
Odpycha i przeklina. — Oddąd niesłychana
W rysach jego i czynach taka zaszła zmiana
Że ta nawet co w swojém nosiła go łonie
Własna matka ze zgrozą zacisnęła dłonie,
Gdy syn o wsparcie błagał. — Wszystko go (odtrąca
Owa tylko sierota, stale kochająca
Dochowała mu serce swoje.

Klotylda.

Nieszczęśliwa!

Noema.

O tak!

Klotylda.

Cóż się z nią stało? Gdzież się dziś ukrywa?

Noema.

Kilka lat upłynęło — żałobnéj dni przędzy
Nic nie snuło prócz ciągłéj zgryzoty i nędzy;
I obraz, co w jéj myśli uroczym miał zostać,
Przybierał rysy śmierci i nicestwa postać,
Życie się jéj zmieniało nagle niespodzianie;
Serce jéj tylko żadnéj nieuległo zmianie.
W dzikich burz samotnościach, gdy przejęte (trwogą
Wszystkie żyjące twory przytułek mieć mogą,
Ona sama z Manfredem na urwiskach skały
Przestała długie chwile. — Kiedy burze wrzały,
I krwawemi noc straszna rozwidniały łuny,
A do koła zniszczeniem groziły pioruny,
Kiedy śmiertelne trwogi duszę jéj przebodły,
Przerażona do Nieba zanosiła modły,
Ale się za Manfreda modliła goręcéj,
O niego tylko drżała. — Możnaż kochać więcéj?

Klotylda.

O czemuż im nieszczęście miłość tę zatruło!
Znasz tedy tę kobiétę szlachetną i czułą?
Musi być piękną również...

Noema.

Zanim cierpień siła
Świéżą i wdzięczną gładkość lica jéj poryła,
Mówiono, że w tém licu, jako w szkle bez skazy,
Odbijały się duszy szlachetnéj obrazy;
Nazywano ją piękną. — Ale rozpacz skrycie
Mrozem swoim zwarzyła kwiatu jéj rozwicie,
I pełny wiosennego życia wdzięk niewieści,
Zmieniła w nieruchomość posągu boleści. —
Słyszałam, jak dni swoje prześpiewała młode...
Skowronek rannym śpiewem wróży dnia pogodę,
Ją ta wróżba zawiodła. — I śpiewy nadziei,
Sny szczęścia, żarty, śmiechy, odbiegły z kolei....
Świat zapomniał. — On jeden uczciłby ją może,
Gdyby ją tylko poznał.... bo wdzięki jéj hoże
Zgasły.... a serce.... serce....

Klotylda.

Czemuż téj niedoli
Bliżéj poznać i wspierać Bóg mi nie pozwoli!
Jakbym z nią chętnie losu dzieliła niełaski.

Noema.

Znasz ją! lecz zawodnemi uwodzącą blaski.—
Przepych kłamliwą maską tyle nędzy kryje;
Sznury kosztownych pereł zarzucił na szyję,
Z drogich jedwabiów utkał wlekące się szaty,
W utrefione warkocze pozaplatał kwiaty:
Kiedy złoconych komnat przestępuje progi,
Liczni pazie dywany ścielą pod jéj nogi,
I tłum Wazalów korne ugina kolano....
Widzisz ją w blasku szczęścia — wielbioną, ko- (chaną —
Lecz niewidzisz płaczącéj w ciemnéj lasów (ciszy —
Tam jéj świat niedostrzega, tam jéj mąż nie (słyszy.

Klotylda.

Mąż!... co mówisz? Więc z innym już zawarła (ślnby?
Ona co tak szlachetnie ciężkie zniosła próby,
Ona tak przywiązana, w nieszczęściu wytrwała,
Jakże mogła?....

Noema.

Jak mogła?.. Cóżem zrobić miała,
Czy widziałaś, jak rozpacz rodzinę twą tłoczy?
Czy cię wstyd jéj rumienił, nędza biła w oczy?
Czy widziałaś jak ojciec stary i kaleka,
Leżąc na gołéj ziemi wsparcia twego czeka?

Chłód mu posinił ciało, głód wnętrzności trawił:
A on cierpiąc i milcząc córce błogosławił!
Widząc tę niemą rozpacz, byłabym w téj porze
Rękę mą najhydniejszéj oddała potworze. —
A przecież śmierć w katowniach, życie w po-
(niewierce
Mniejby mi niż te ślnby rozdzierały serce. —
Ale powinność córki i fatalność dzika
Wciągnęły mię w te związki. — Nie znałam
(Rodryka,
Nigdym go niewidziała. — Mam obecne w myśli
Wszystkie przygody życia. — Mogłabym naj-
(ściśléj
Wszystko, wszystko powtórzyć. — A nie pomnę
(chwili,
Kiedy mnie przed ołtarzem w Lukano stawili. —

Klotylda.

Przebóg! tyżeś to Pani?... słucham cię zdu-
(miona!

Noema.

Ja jestem ta nieszczęsna i matka i żona,
Mąż dostojny i zacny, kocha mnie najczuléj,
Dziecko do mego łona z uśmiechem się tuli,
Głos cnoty, powinności upomina głośno: —
Ale powinność dla mnie stała się nieznośną
Bo serce raz podbite nawrócić się nieda,
Czuje, cierpi i bije tylo dla Manfreda.

Klotylda.

Miłość mnie ta przeraża,.... przecież czasu
(władza...

Noema.

A wiesz ty jak miłości burzom czas zaradza?
Zmienia gwałtownéj żądzy uniesienia wrzące,
W jednostajnych, powolnych udręczeń tysiące,
A gdy głośnych wyrzekań twoich żar wyziębi,
Odjętą z ust twych skargę kryje w serca głębi;
A kiedy nagle wstrzyma łzy gorącéj ścieki,
Zmrożoną u twych powiek zawiesza na wieki....
Taką to na mnie, taką władzę czas wywiera.

Klotylda.

Aleź przychylność męża i własna chęć szczéra....

Noema.

Wpatrz się w moje postępki — nie jestem ja
(z rzędu
Tych kobiét, co w następstwie dobrowolném
(błędu,
Nierząd który tajemnym przedłużają torem,
Zadawnionéj miłości okryć chcą pozorem.
Bez namysłu ojcowskie spełniwszy rozkazy
Nieszczęśliwa małżonka, jestem nią bez zmazy.
A przecież mych katowni nikt pojąć nie zdoła:
Kiedy szczęście i ufność cisną się do koła,
Trwożyć się ciągle krwawych widziadeł pogonią,
Potrzebować litości, nie śmieć prosić o nią;
Kłamać ciągle i okiem i pogodą lica,
Gdy każdy wzgląd mężowski boleść twą podsyca
I uśmiech dziecka jak sztyletem rani....
Ty nie wiesz, co ja cierpię!...
(płacze).

Klotylda.

Uspokój się Pani;
Otrzyj łzy — lada chwila mąż twój może wrócić.
O! strzeż się pokój duszy Hrabiego zakłócić
Przez zgubne podejźrzenia!

Noema *(z goryczą).*

Nędzna to kobiéta,
Ktora małżonka swego z radością nie wita,
Kiedy wraca.... ktoś idzie!.... gdyby podsłu-
(chano!...

Klotylda *(wyjźrzawszy za drzwi).*

Nie trwoż się, to Zakonnik.

Noema.

Czegoż chce tak rano?

Klotylda.

Sam to powié.

Noema *(z mocą).*

Klotylda ty jedna na świecie
Czytałaś w duszy mojéj!
(Braciszek wchodzi).

Noema *(do wchodzącego).*

Czego Ojcze chcecie?
Cóż was tutaj sprowadza?

Braciszek.

Dostojna Hrabino,
Błogosławieństwa Niebios niech na dom ten
(spłyną!
Wielebny Ojciec Opat służby swe wynurza,
I razem znać wam daje, że okropna burza
O skały nasze okręt rozbiła téj nocy.
Nawałność przeszkodziła rychléj nieść pomocy;
Szkoda znaczna i ludzi zginęło nie mało:
Kilku przecież szczęśliwie na brzeg się dostało.
Błaga was więc, abyście jak zwykle wspaniali
Nieszczęśliwym rozbitkom przytułek tu dali.

Noema.

Odnieście Wielebnemu Ojcu z naszéj strony,
Że mąż i Pan mój lubo dzisiaj oddalony,
Nigdy względom ludzkości kłaść nie przywykł
(tamy,
Zawsze zamku Lukano otwarte są bramy
Na przyjęcie niedoli. — Cierpiałabym wiele,
Gdyby gościnność wasze przepełniała cele,
A zamkowe komnaty zostać miały próżne.
Idźcie i chęci nasze odnieście usłużne.

Koniec I. Aktu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*